Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No: 39.** Leszno, *dnia* 28. *Marca* 1840.



X. Jan Brosciusz.

W dziejach oświecenia narodu naszego znamienitą gra rolę Jan Brosciusz, którego imię znaném musi być każdemu, co zasłyszał, chociażby tylko z daleka, o zatargach akademii krakowskiéj z Jezuitami za Zygmunta III. — Urodził się w r. 1581. w Kurzelewie, w województwie sieradzkiém, z dosyć zamożnych, a nadewszystko rozsądnych rodziców, zwanych Broszczami, albo Broskiemi, którzy go zaraz od dzieciństwa do nauk napędzali. „Gdy mój ojciec“ — mówi Brosciusz w jedném miejscu — „człowiek poczciwy, który razem był nauczycielem moim, widział, iż mię nie wielka pomoc z zagonów ojczystych czekała, dawszy mi początki nauk w domu, jako téż i geometryi, któréj się sam nauczył z książki polskiéj Stanisława Grzebskiego, mianowicie o najprostszym sposobie mierzenia za pomocą cieniów, naprzód mię do szkół, a następnie do akademii odesłał.“ Młody Brosciusz, oddany do akademii krakowskiéj, poświęcał się szczególniéj naukom matematycznym i językom starożytnym, i w nich tak znaczne postępy zrobił, że w roku 1603., a zatém w 22gim roku życia, w poczet nauczycieli akademickich policzonym został; w roku zaś 1610. stopień doktora filozofii i sztuk wyzwolonych otrzymał, wydawszy uczoną rozprawę matematyczną pod tytułem: „Sposób mierzenia odległości bez pomocy narzędzi.“ Wkrótce potém wezwany został na katedrę professora publicznego matematyki i astronomii, którą przez lat 10 z wielkim użytkiem młodzieży zajmował. Albowiem ucząc młodzież, nie przestawał sam oświecać się, zasięgając rady i nauki od najuczeńszych w tym przedmiocie w wieku owym ludzi, jakimi byli Adryan Rzymianin, Kepler, Piotr, Kryger, matematyk gdański, i Adam Frejtag, Toruńczanin. Dla poznania się z ostatnimi osobiście, odbył podróż do Prus królewskich i zwiedził miejsca uświęcone gieniuszem i zwłokami nieśmiertelnego Kopernika. Z Frauenburga wyjeżdżając, wywiózł napis grobowy Kopernika, który kazał sztychować, oddając tym sposobem winny hołd zasługom i gieniuszowi wielkiego męża. W przeciągu tego samego czasu wydał kilka ważnych dzieł, jako to: „*Dissertatio de Cometa Astrophili*“; „*Quaestio de dierum inaequalitate*“; „*arithmetica integrorum*“ i t. d.

Mając już dość sławy i zasług w kraju i za granicą z nauk matematycznych i astronomicznych, nie spoczął na laurach, nie zgnuśniał chciwy nauk umysł, ale owszem szukając nowego dla siebie żywiołu, postanowił uczyć się sztuki lekarskiéj, i usposobiwszy się w tym przedmiocie dobrze w akademii krakowskiéj, z woli i za wsparciem Marcina Szyszkowskiego, ówczesnego biskupa krakowskie-

go, kanclerza akademii, udał się w r. 1620. na uniwersytet do Padwy, gdzie szczególniéj wydział lekarski słynął. Jak długo Brosciusz w Włoszech bawił, niewiadomo; w roku atoli 1625. już się znajdował w kraju, albowiem w tym czasie ogłosił drukiem swego „Gratisa“, a w następnym roku (1626.) objął po Janie Petrycem katedrę, fundacyi Piotra Tylickiego, biskupa krakowskiego, któréj professor, podług myśli założyciela, obowiązany był wykładać uczniom księgę Cycerona *de Oratore* (o mówcy) i dla tego zwany był pospolicie: *Orator Tylicianus*.

Było to właśnie w czasie, w którym Jezuici, częścią z winy saméj akademii, częścią téż wkradłszy się do serca słabego monarchy, magnatów, biskupów, niższego duchowieństwa, szlachty, a nawet pospólstwa, zyskali powszechną przewagę w narodzie, przytłumiali wszędzie szkoły akademickie i usiłowali zadać cios ostatni akademii, otworzeniem szkół swoich w Krakowie. Osiedli oni w tym starożytnym grodzie Piastów i Jagiełłów już w r. 1579., przy kościele ś. Szczepana, a zapomniawszy, że sławę i wziętość swoję w narodzie winni byli jedynie akademii krakowskiéj (najsławniejsi bowiem ich ludzie, jakoto: Jakób Wujek, Piotr Skarga, Stanisław Grodzicki, Benedykt Herbest, Marcin Ujazdowski, Szymon Wysocki, Marcin Smigielski, Laterna, Adryan Jung, Justus Rab i t. d. wyszli z łona akademii), usiłowali ją zniweczyć. W trzy lata po swojém przybyciu do Krakowa, to jest r. 1582., opanowawszy kościoł ś. Barbary, kollacyi akademickiéj, przy nim także gimnazyum otworzyć umyślili. Był natenczas rektorem akademii sławny nauką i kłótnią swoją literacką z Benedyktem Herbestem, Jakób Górski. Poznał on natychmiast niebezpieczeństwo zagrażające akademii i stanął z energią w obronie jéj praw, zaniósłszy żałobę do króla Stefana, nuncyusza papieskiego i biskupa krakowskiego. Przez trzy tygodnie sprawa akademii, lubo jasna i sprawiedliwa, była roztrząsaną, aż nareszcie król i legat papiezki za Jezuitów przyrzekli, że ci szkół w Krakowie na uszczerbek przywilejów akademii nie założą. Akademia z swéj strony zrobiła pewną koncessyą dla Jezuitów, zrzekłszy się praw swoich do kościoła ś. Barbary. Tą atoli powolnością nic nie zyskała. Jezuici nie porzucili raz powziętego zamysłu, czekali tylko na chwilę dogodną, w któréjby mogli otworzyć śmiało i bez przeszkody szkoły swoje w Krakowie. Za taką poczytali r. 1624. W tym bowiem czasie kollegia ich niezmiernie rozmnożone po Koronie i Litwie, jednały im w wszystkich zakątkach stronników, zapewniały większość głosów na sejmach i sejmikach; partya różnowierców, ich głównych przeciwników, była już przełamaną, unia kościoła wschodniego z zachodnim utwierdzała się coraz bardziéj; sam monarcha był na ich usługi, Marcin Szyszkowski, biskup krakowski, sprzyjał im z serca; największym zaś sprzymierzeńcem ich zdawała się być sama akademia, bo drzymiąc, widocznie nikczemniała. Otworzyli więc w Krakowie szkoły 1624., odmówiwszy akademii wielu studentów i z innych kollegium swoich wielu do Krakowa przywoławszy, pewni, że akademia przedsięwzięciu ich nieudolny tylko stawi opór. Ale mylne są, by téż najwyrafinowańsze, rachuby ludzkie. Akademia, tym śmiałym krokiem Jezuitów, jak gronem ze snu obudzona, wystąpiła z całą przezornością sędziwego, z całą energią średniego, z całą siłą i zapałem młodzieńczego wieku w obronie praw swoich. Broniła ich przed królem, na synodach, w Rzymie; odpierała napaści w pismach ulotnych, uderzała sama wstępnym bojem na przeciwnika.*) Wszakże pomimo tego położenie jéj było drażliwe i niebezpieczne. Opuszczona, zostawiona saméj sobie, miała przeciw sobie potężnych, możnych przeciwników, ujmujących dla siebie naród wszelkimi sposobami, szukających pomocy po dworach, po klasztorach, po plebaniach, po sejmikach roznoszących skargi na akademią i starających się o pozyskanie opinii publicznéj za sobą wszelkimi sposobami; wspieranych od króla, a co gorsza, od samego kanclerza akademii, Marcina Szyszkowskiego, biskupa krakowskiego, który najświętsze obowiązki swoje (obrońca z prawa akademii) zdradzając, wszędzie i zawsze Jezuitów protegował. Tak np. w roku 1621. dnia 10. Lutego zwołał synod do Krakowa i na nim pod klątwami obostrzył, aby się nikt nie ważył żadnego pisma przeciw Jezuitom bez wiadomości jego wydawać; zakaz ten ponowił reskryptem w Bożencinie r. 1623. danym, a innym listem pasterskim w Iłży 1623. datowanym, umieścił na liście książek zakazanych pisma w obronie akademii wydane; gdy tymczasem pod ręką zalecał pisma Jezuitów przeciw akademii wymierzone. Było to obdzierać akademią z ostatniéj broni i oddawać ją bezbronną pod goły miecz potężnego już nieprzyjaciela. Ale akademia nie ulękła się niczego; zaufana w przekonaniu swém, że słuszna sprawa prędzéj czy późniéj

*) W zatargach tych akademii krakowskiéj z Jezuitami wyszło bardzo wiele pism. Do najciekawszych należą następujące: „Cathedra abo kazanie X. J. z Nowego Targu“; „Deklaracya o niewinności X. J. z Nowego Targu“; „Obżałowanie przeciwko Ojcom Jezuitom“; „Responsio ad famosum libellum a Patribus socictatis Jesu in Academiam Crac. scriptum“; „Gratis plebański Brosciusza“; „Gratis plebański Józefa Pięknorzeckiego (właściwie Jezuity poznańskiego Fryderyka Szembeka), autora wielu innych, dziś rzadkich pism“; „Obrona Collegium krakowskiego, Patrum Societatis Jesu“; „Zniesienie Obrony Collegium PP. Societatis Jesu w Krakowie“; „Krótka informatia o sweywoley Studentów Akademiey Krakowskiey, przez Sebastiana Koszuckiego“ i t. d. i t. d.

zwycięztwo zawsze odnosi. I ta stoicka nieugiętość jéj w walce z Jezuitami, jest najpiękniejszym rysem w czterowiekowém jéj życiu.

Tymczasem walka między akademią i Jezuitami wciąż wrzała i nietylko atrament, przelewały strony w niéj i krew bratnią. Powrót Brosciusza z Włoszech przypadł na takie smutne czasy, na takie zaburzenie w stolicy Jagiełłów. Wstąpił on natychmiast w szeregi obrońców wspólnéj matki, akademii. Nie zrażony zakazami Szyszkowskiego, wydał przeciw Jezuitom pismo śmiałe, otwierające narodowi oczy na wychowanie jezuickie młodzieży, pod tytułem: „Gratis plebański.“ (1625. roku.) W piśmie tém okazuje: „że Jezuitom nie godzi się mieć szkół w Krakowie, bo nie każdą rzecz dobrą czynić każdemu znidzie się, zwłaszcza, jeżeli prawa i przywileje kogo w czém obwarowały; że Jezuici drogo uczą, chociaż ludziom oczy mydlą, jakoby darmo uczyli i droga ta ich nauka jest z wielką dla rzeczypospolitéj szkodą, bo od wielkich swoich dóbr i majętności, ciężarów rzeczypospolitéj nie ponoszą; wybierają zdatniejszą młodzież z pomiędzy uczniów swoich do swego zakonu, podarunki wielkie i upominki biorą od rodziców tych, których dzieci uczą; że zakon swój wszędzie zalecają, naprzód tym, których dzieci uczą, a potém swoim uczniom, gdy już ze szkół do innych się zabaw udają, przypominając im, aby na Jezuity, jako na swe nauczyciele, łaskawi byli, aby w kongregacyi ze swymi bywali, a księży świeckich, zakonników innych i akademików ganią, komedye o nich i kazania stroją, w ohydę onych do ludzi udając pismami źle wspominają; że jezuicki sposób uczenia w szkołach nic nie wart, bo bez potrzeby narobiwszy trudności w gramatyce, długo nią młodzież zabawiają; że Jezuici nie wszyscy są Jezuitami prawdziwymi, chociaż po jezuicku chodzą, ale się dopiero takimi stają, gdy czwarty ślub papieżowi iścia do pogan czynią; że Jezuici przychylniejsi są królowi hiszpańskiemu i innym, niż własnemu krajowi; że Jezuici wszystkich królów póty szanują i ważą, póki im są pożyteczni; zmarłych zaś lekce sobie kładą, bo im się na nic przydać już nie mogą.“ Daléj dowodzi z przywileju Władysława Jagiełły, akademii danego, że Jezuitom nie wolno szkół w Krakowie otwierać. Dzieło to dał Brosciusz wytłoczyć u Jędrzeja Piotrkowczyka, drukarza dyssydenckiego, w Wielkiéjnocy, który za sprawą Jezuitów skazany został wyrokiem sądu grodzkiego krakowskiego na osmaganie u pręgierza za to, że się poważył drukować pismo, uwłaczające sławie Jezuitów. Książka ta rozszedłszy się po rękach, narobiła wiele wzburzenia w publiczności, a Jezuitom kłopotu, albowiem zarzuty czynione w niéj zakonowi, nie były, jak mówią, wyjęte z rękawa, ale z domowego życia *) Wzburzenie to okazywało się szczególniéj pomiędzy młodzieżą akademicką i jezuicką. Przyszło do gorszących scen, do rozlewu krwi. Uczeń akademicki, Bartłomiéj Przepiorka Piątkowski, zabitym został od motłochu, od Jezuitów, jak utrzymywano, na to nasadzonego. Uczniowie akademiccy oddawali wet za wet, a może byli i stroną zaczepiającą; zwierzchność szkolna z obydwóch stron, zamiast powściągać tę swywolę, zachęcała do niéj, albo przynajmniéj przez szpary na nią patrzała. „Pozwawszy panowie akademicy“ — mówi Jezuita Szembek w odpowiedzi na Gratisa Brosciusza — „Jezuity do Rzymu o szkoły ich krakowskie i tam się o to z nimi prawem rozpierając, nie czekawszy dekretu stolicy apostolskiéj, studenci ich sobie sprawiedliwość czynić z Jezuitów poczęli; studentom bowiem jezuickim ze szkół do domu się wracającym, nieraz na dobrowolnéj drodze zastępowali, rozmaite onym despekty i przykrości czyniąc, ich bijąc, książki wydzierając, czapki zdzierając, chcąc szkoły jezuickie tém wexowaniem rozpłoszyć, a Jezuitów z possessyi zrażić; ale gdy im to nie poszło, z kamieniami i z bronią zastąpili im na grodzkiéj ulicy gromadno, i nie mając względu ani na stan kapłański dwu Jezuitów, obudwu kapłanów i professorów, między studentami dla obrony ich od swawolników onych idących, zbrojną ręką na nie uderzyli i tumult zgwałceniem pokoju publicznego uczynili, tak, że drzwi domów i warsztatów, do których byli tak Jezuici jako i studenci ich ustąpili, siekli, a szlachcica, jednego dyscypuła jezuickiego, w ramię cięli; innym kijmi, drugim kamieńmi dostało się. Jechali zaraz Jezuici do JMci księdza biskupa w téj sprawie, a na X. rektora, nierychło swe hamującego, i na studenty jego protestacye poczyniwszy, króla JMci o tak wielkiéj insolencyi i krzywdzie swéj informowali; bo x. rektor akademicki miasto tego, co studenty swe miał karać i płoche one postępki zganić, to on jeszcze uniewinniał ich swawolę.“ Młodzież akademicka, temi zgiełkami, burdami, zabijatykami i paszkwilami z jednéj i drugiéj strony wyłącznie zajęta, odwodzoną była od nauki; nie mogli o niéj myśleć i professorowie, obarczeni ciężkim processem w Rzymie, zatrudnieni odpieraniem pocisków jezuickich.

Był natenczas rektorem akademii Krzysztof Najmanowicz, mąż nie tak uczony, jak raczéj rozumny i energiczny. Ten chcąc położyć koniec owemu opłakanemu stanowi akademii, pojechał w tym interesie do Warszawy do Zygmunta III., wziąwszy z sobą Brosciusza; nie wskórał atoli nic u monarchy za Jezuitami

*) Na pismo to Brosciusza gotowali Jezuici dwa lata odpowiedź, nareszcie ukazał się ich „Gratis plebański“ Szembeka, wydany w Poznaniu 1627. r.

uprzedzonego. Brosciusz, pokazawszy w téj missyi wielką zręczność w interessach prawnych, był później często wysełanym od akademii w téj sprawie do króla i rzeczypospolitéj, zajmując się prócz tego wykładaniem nauk matematycznych i obroną praw akademii.

Śmierć Zygmunta III. (1632.) uwolniła go od ostatniego zatrudnienia. Następca bowiem Zygmunta III., Władysław IV., wychowany od akademika Władysławskiego, nie będąc przychylnym Jezuitom, popierał sprawę akademii z równą gorliwością, jak ojciec jego niegdyś sprawę Jezuitów. Zaraz po swojéj koronacyi zwiedził akademią; przyjęty jak najuroczyściéj od professorów, mających na swojém czele Jakoba Najmanowicza, rektora *), który monarchę mową łacińską powitał. Władysław IV., rozmawiając uprzejmie z professorami, przyrzekł akademii sprawiedliwość wkrótce wymierzyć. Jakoż w roku 1633. na sejmie popierał ten interes i otrzymał skassowanie wyroków rzymskich, na korzyść Jezuitów zapadłych; poczém w roku 1635. szkoły jezuickie w Krakowie na zawsze zamknięte zostały.

Brosciusz, bądźto znudzony tą literacką i prawniczą wojną z Jezuitami, która w ustawiczném natężeniu umysł jego w rzeczach mu niemiłych ciągle utrzymywała, bądź też dla zapewnienia sobie kawałka spokojnego na starość chleba, którego mu stan akademicki nie obiecywał, został w tym czasie kapłanem, a otrzymawszy od Jana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego, intratne probostwo w Międzyrzeczu na Podlasiu, pożegnał akademią (1639). Będąc kapłanem pełnił ściśle obowiązki tego stanu, nie wymawiał się od żadnych posług duchownych i często jeżdżąc na synody, uchwały ich spisywał; wszakże o akademii nie zapominał, a uzbierawszy nieco pieniędzy, zapisał jéj 3000 złotych ówczesnéj wartości na powiększenie pensyi professora matematyki, na wsparcie ucznia téj nauce poświęcającego się i na pomnożenie biblioteki, darowawszy jéj nadto cały liczny swój księgozbiór, którego atoli używanie zastrzegł sobie do końca życia. Sprzykrzywszy sobie pobyt w miejscu dalekiém od ogniska nauk krajowych, wrócił w r. 1648. do Krakowa, objął na nowo katedrę matematyki w akademii, a w r. 1652. obrany został jéj rektorem, lecz już w tym samym roku w pełności lat wielu i zasług, dnia 15. Grudnia życia dokonał. — Był to mąż głęboko uczony, jeden z najcelniejszych matematyków i astronomów naszych, zdrowo myślący, z wszystkiemi gałęziami nauk dobrze obeznany, nieprzyjaciel główny form niepotrzebnych, wybiegów i subtelności dyalektycznych; prawdę nad wszystko kochający, brzydzący się hipokryzyą tak w całych stanach, jako i w osobach pojedyńczych. Sił próbował w wielu rodzajach piśmiennictwa *); wolne od obowiązków chwile poświęcał poezyi, mianowicie satyrze, która mu się, zwłaszcza w Albertusie**), gdzie junakieryą wyszydza, nie źle udawała. Słowem, byłto gieniusz, człowiek wyższy nad wiek, w którym żył, człowiek, który się nie dał unieść potokowi ówczesnéj panegiryczności; widział dobrze złe, znał jego sprawców i rozsiewaczów, życzył szczerém sercem swéj ojczyznie szczęścia, ale niemógł korzystnie wpływać na los narodu, reformę nauk, bo przeszkody, które miał, nie były do pokonania.

Kraków 1. Lutego 1840 roku.

X. W. N....

*) Mowę tę wydrukowano w ćwiartce: „Reverendi olim Jacobi Naymanovicii J. U. D. ac professoris, Can. Cracov. ad Serenissimum Vladislaum IV. etc." 5 kart, Najmanowicz ten był bardzo lubionym, jak się to okazuje z pisemka: „Thren żałobny na Pogrzeb Jego Mości X. Jakuba Naymanowica etc., który obiit 23. Novembris 1641. Wydany przez Tomasza Kalińskiego Sapsienta [to jest bedela] Akad. krak. W Krakowie 1641. — 4to."

*) Pisma jego wyliczają Sołtykowicz, Bentkowski, Siarczyński.

**) W „Gratis plebańskim", przyznaje się sam. że

**) W „Gratis plebańskim", przyznaje się sam, że jest autorem „Albertusa", dobréj satyry, na wiele junaków, co to z kurami wojują.

Czchów. ***)

(*Z obrazów Galicyi.*)

W południowo-zachodnim końcu obwodu bocheńskiego leży pomiędzy dwiema górami w niżinie nad Dunajcem małe miasteczko Czchów, zamieszkałe od 1480 Chrześcian i 200 Żydów. Całą tę uroczą okolicę przerzyna piękna górska rzéka, nadająca takowéj życie. Z dawnéj wielkości i znaczenia tego miejsca, będącego dziś własnością barona Adama Niemyskiego, mało śladów pozostało. Miasteczko winne swe powstanie Kazimierzowi Wielkiemu, który według słów polskich kronikarzy: „królestwo drewniane znalazł, a murowane zostawił." Król ten obwarował miasteczko wałami i murami, wyniósł go oraz do godności kasztelaństwa i niegrodowego starostwa. Tutaj odbywały się sądy ziemskie województwa krakowskiego, powiatów: sądeckiego, czchowskiego, bieckiego i szczyrzyckiego. Na ostrokręgowém wzgórzu stoi jeszcze czcigodny zabytek odległéj przeszłości: okrągła wieża. Głębokie i smutne ciemnice takowéj służyły za więzienie dla dumnéj i zbrodniczéj szlachty, która za ciężkie



Czchów.

przestępstwa tutaj traconą bywała. Używano do tego katów z Biecza, miasteczka, gdzie takowi swój cech mieli. Dotąd jeszcze przechowało się w ustach ludu wiele podań o mękach, jakiemi zbrodniarzy karano, n. p. o żelaznéj pannie i innych w owych czasach używanych narzędziach katowniczych. Widok niniejszy przedstawia ową wieżę okropną.

Kościół farny ciekawy ze swéj starożytności; przechowywano w takowym akta ziemskie. Niedawno jeszcze był tu obraz z 15go wieku, zasługujący na uwagę, przedstawiając wołoskiego księcia Ognasda, starostę czchowskiego. Z końcem 16go wieku miała tutaj széroko w Polsce rozgałęziona sekta Socynianów zbór swój, który po wygnaniu takowych z kraju przez króla Jana Kazimierza w r. 1658. został zamknięty. Franciszek Lismanin z Korsyki, pierwotnie Franciszkan i kaznodzieja królowy Bony Sforzy, był po swém przejściu do Socynianizmu nauczycielem zboru tutejszego i napisał tutaj kilka z swych spornych pism łacińskich.

Czchów oddalony jest na południe od wolnego miasta Krakowa o mil 8; przyległa okolica należy do najciekawszych tak pod względem piękności swego położenia, jako też wielu historycznych pomników. W małéj odległości z tąd znajdują się olbrzymie gruzy niegdyś mocno warownego zamku Melsztyna — w 14tym wieku Molstein zwanego — sławnego gniazda rodziny Tarnowskich, piękny klasztor OO. Reformatów w Zakliczynie, pobożnéj fundacyi Tarłów, oraz wieś Lucławice, znakomita śmiercią Fausta Socyna, w któréj niegdyś istniała drukarnia Socynianów i gdzie dotąd jeszcze grobowiec tego sławnego męża widzieć można.

Flis.

(Ciąg dalszy.)

„Zeszedł Sierpień i Wrzesień, ja się znowu w drogę wybieram.“

„Poczekaj jeszcze ze dwa tygodnie“, powiedziała szyprowa, „będzie tu jarmark; nakupimy wszystkiego, co na wasze gospodarstwo potrzeba.“

„Czekam więc, a tymczasem orzę, sieję w polu z Gotlibem, kopię w ogrodzie, pracuję dwa razy tyle co w domu, a wszystko ochotnie, boć to dla rodziców mojéj Lotki i dla niéj saméj.“

„Nadszedł jarmark, wyruszyliśmy do kramów; szyprowa kupuje tuzinami ręczniki, serwety, sztukami muszliny i perkale; jak jéj czasem parę talarów zabraknie, pożycza odemnie i nie oddaje, ale ja się tém nie frasuję, wszakże wszystko będzie mojém, jak się z jéj córką ożenię.“

„Minął wreszcie i Październik, ho! czas do domu; już się tam dziadek stęsknił bezemnie. — Nie zatrzymują mię szyprowie, tylko Lotka płacze i wyrzeka, że mnie tak długo widzieć nie będzie.“

„Niemieckim zwyczajem odbyliśmy zaręczyny; wydałem dwa dukaty na złote obrączki, już się tylko sto złotych z dziadka pieniędzy zostało, ale gdzie mi tam o tém myśleć!“

„W dzień wyjazdu Gotlib wziął mię na stronę i oznajmił, że tam u nich taki zwyczaj, aby przed ślubem robić zapis, czyli akt urzędowy; — nie dałem się długo namawiać, bo patrząc na spłakane oczy mojéj narzeczonéj, byłbym jéj nawet duszę zapisał na wieki. — Poszliśmy do magistratu i przy świadkach obowiązałem się, że, jeżeli się z Lotką ożenię, to po mojéj śmierci cały majątek do niéj należeć będzie; — że pieniądze pożyczone Gotlibowéj, i oprócz tego pięćdziesiąt złotych, zostaną w jéj ręku dla pewności; — w końcu, że jeżeli na 1. Czerwca przyszłego roku nie przyjadę do Gdańska, to wszystko przepadnie i żadnego prawa do Lotki mieć nie będę.“

„Przystałem na wszystko, bom był pewnym, że się jeszcze przed Czerwcem wyrwę z Bukowca, i z Żydem furmanem ruszyłem w drogę.“

„Trudnoby opowiedzieć, co mi się po głowie snuło; tylko im bliżéj domu, tém mi ciężéj było na sercu; przypomniałem sobie całe postępowanie Gotlibów, i teraz dopiero poznałem, że oni wszystko dla swojego tylko robili interessu; w akcie, który podpisałem, nie było ani słowa o tém, co oni mi dadzą, tylko, co odemnie dostaną; przez cały czas mego u nich mieszkania nie dali mi darmo nawet kąska chleba, trzeba go było wprzód zarobić; nawet na jedwab, z którego mi Lotka woreczek zrobiła, musiałem dać pieniędzy, choć ona miała swoje grosze. — Kocha mnie niby, mówiłem do siebie, a jak spokojnie myśli o mojéj śmierci, jak się na nią ubezpiecza, — przytém przyszło mi na myśl, jakie ma czarne zęby, jak szkaradnie mówi po polsku, jak się to z niéj w Bukowcu wyśmiewać będą, — nakoniec też, co dziadek powie na to, żem mu tyle pieniędzy wyszafował.“

„Poganiałem, jak mógłem, Żyda furmana, żeby przed świętym Marcinem stanąć w Bukowcu, ale wiadomo państwu, jaka to żydowska jazda! to mu koń okulawiał, to koło spadło, to oś pękła, to trzeba szabas przeczekać, dość, żeśmy jechali ledwo po trzy mile na dzień; znudziło mi się to, zsiadłem z bryczki i w deszcz, w błoto, z tłómoczkiem na plecach ruszyłem daléj piechotą.“

„Przy najlepszéj ochocie nie stanąłem w Bukowcu aż w samą wigilię świętego Marcina, i to późnym wieczorem. — Nie śmiałem jakoś

wejść od razu do chaty; nadstawiłem ucha do klamki, czy czego nie usłyszę; ale tylko kołowrotek naszéj Małgorzaty warczał bez ustanku."

„Otwieram drzwi, aż tu zamiast staréj gospodyni, widzę moją dawną Marysię przędzącą przed ogromnym ogniem u komina; — spojrzała na mnie i skinęła ręką, żebym szedł cicho, bo po drugiéj stronie ognia na szerokiéj ławie siedział drzymiący mój dziadek."

„Blady był i wynędzniały, znać chorował nie dawno; plecy oparł na poduszce, a na nogach jego leżała świąteczna sukmanka Marysi baranami podbita. Nie przebudził się na moje wejście, usiadłem więc przy dziewczynie i słuchałem pilnie, jak przędąc opowiadała mi półgłosem, że Małgorzata umarła w miesiąc po moim wyjezdzie, że dziadek zostawszy bez pomocy, sam wszystko robił około domu, aż póki spracowawszy się pewno, ciężko nie zaniemógł; trzy tygodnie leżał w łóżku i teraz jeszcze nie miał siły wyjść z chaty."

„A jam się przez ten czas bawił i do Niemki zalecał! rzekłem do siebie z wyrzutem."

„Nie troszczcie się Marcinie! wszakże moi gospodarze niedaleko ztąd mieszkają; ja tu dopadałam często, i zastępowałam was przy staruszku."

„A wiedziałaś ty Marysiu, że ja się mam żenić?"

„Wiedziałam, i szczęść wam Boże! bo téż teraz potrzebna gospodyni w domu."

„Lepsza ona od Lotki! pomyślałem sobie; i jak znów zacząłem jednę z drugą porównywać, no! ale po tém o tém. Marysia wyprzędła len z prześlicy, wstała po cichu i wyjrzała oknem."

„Już śpią u nas, rzekła: pójdę i ja do domu, boby mi może nie pozwolili prząść tu na drugi raz. Już się tu pan Marcin bezemnie obejdzie, kiedyście wy wrócili."

„Poszła; dziadek ocknął się niedługo i przywitał mię ze łzami; opowiedział mi, ile wycierpiał, ile się po mnie natęsknił; jak poczciwa Marysia nocy nie dosypiała, byle wydołać służbie i dopilnować opuszczonego starca, co nieraz jéj rodzicom pomagał, a ją samą nosił na ręku; jak ona widząc, że dziadek nakupiwszy zboża na przedaż, mało sobie zostawił pieniędzy, w trzeciéj wśi skupowała miód i inne przysmaki, mówiąc, że to od swojéj gospodyni dostaje; jak mię broniła, kiedy staruszek w gniewie na moją niewdzięczność i zapomnienie powstawał."

„Szkoda moje dziecko, powiedział idąc na spoczynek; szkoda, żeś się dał jakiéjś Niemce opętać, bo nie ma i nie będzie lepszéj żony pod słońcem, jakby Maryśia była!"

„Szkoda! pomyślałem sobie; ale cóż robić, dałem słowo, a słowo krakowskiego flisa jest święte."

(Koniec nastąpi.)

Poezya polska w 15tym i 16tym wieku,

przez W. A. Maciejowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Znakomitszego, niż Jan Kochanowski, talentu, ale w wieku swoim mało ceniony poeta, to jest Sebastyan Klonowicz, opłakując śmierć wieszcza z Czarnego lasu, tak nócił (w żalu I.):

Już się z niego nie cieszą niebotyczne skały,
Już się lutni nie będą lasy ozywały.
Już nie ma, i żałosna, już nie tak pozorna
W górnych cieniach usiadła Echo głosotworna.

Jego słowa były wieszcze, bo po Janie Kochanowskim miała Polska tłumy elegijnych poetów, i ślepych tamtego naśladowców: ale wieszcza, któryby go przewyższył, a przynajmniéj zrównał mu w trenach, nie miała. Jeden tylko Kasper Miaskowski, równie w hymnach, jak w elegii wielki, godzien jest stanąć około niego. Ale elegia wielko-polskiego poety, inną na sobie cechę nosi, aniżeli treny Małopolanina. Najpiękniejszym tego rodzaju wierszem, jest zrobiony przez niego opis śmierci młodzieńca (*), który zginął na łowach:

Płaczą go wkoło, strachu nie próżne
Z listków deszcz lejąc, gałązki różne.
Tak więc brunatny kwiatek przy błocie
Ostry poderznie pług na uwrocie,
On niż dopadnie do ziemie, mdleje,
Albo jeśli deszcz gwałtowny leje,
Ciężkie schyliwszy na dół mak głowy,
W mętnéj utonie brózdzie, wnet płowy.

Po lirycznéj, satyryczna poezya najwyżéj się u nas wzniosła, ważną w dziejach umysłowego naszego usposobienia odegrawszy rolę. Nasza satyra nie była łajaniem i łżeniem zepsutych obyczajów (tych téż niemieliśmy nigdy, gdyż u nas zepsucie nie było powszechne, ale tylko mała część narodu podlegała mu), jak u Rzymian; byłato raczéj ironia wyszydzająca i wydrwiewająca psującą się moralność narodu, podobnie jak u Greków. Kiedy po drugiéj wojnie kartagińskiéj szybkim krokiem dążył Rzym ku osiągnieniu władzy nad całym ówczesnym ucywilizowanym światem, kiedy go téż niezabawem podbił pod moc swoją, a następnie złupił i zawojował, wtedy próżnowaniu oddany, rozpasał się na wszelkie zbytki. Wnet prozaiczna poezya rzymska, chłostała wierszem sześciomiarowym te zgrozy, i ta, która z resztą naśladowaniem była greckiéj, oryginalną stała się w satyrze. Począwszy od Lucyliusza, satyra tylko oryginalności cechę na sobie nosi, odznaczając się pięknie, w całym przestworze rzymskiéj literatury. Z charakteru wypadło to naszego, żeśmy się musieli psuć, ale nigdy zupełnie się zepsuć nie mogliśmy: dla tego téż i satyra nasza raczéj była ironią i dowcipném wyszydzaniem psujących się, aniżeli chłostą zepsutych obyczajów, otwierającą oczy naro-

(*) Dzieł część II. str. 260. 261. wydanie 1622.

dowi, na złe skutki lekkomyślności jego i swawoli. Poeci nasi, którzy w tym duchu pisywali satyry, cieszyli się zawsze dobrém powodzeniem; przeciwnie, rozjątrzali raczéj, aniżeli naprawiali serca, jako to: Łukasz Opaliński. Ostatnim najznakomitszym satyrykiem polskim był Ignacy Krasicki, z którym ustał ten rodzaj wiersza. Jakoż stał się on już niepotrzebny w końcu 18go wieku, gdy naród wyplątawszy rozum swój z więzów jezuickiego wychowania, znowu myśleć i sam nad sobą zastanawiać się zaczął.

W wieku 16tym liczymy trzech znakomitych satyryków: Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego i Sebastyana Klonowicza.

Po wszystkich dziełach Reja rozlana jest satyra; dowcipną jest w czwartym rozdziale jego zwierzyńca, błazeńską w figlikach. W zwierzyńcu dowcipnie wywiódł Rej na scenę zwierzęta i drzewa łające ludzi, podobne sobie ze skłonności i postaci. Tak bocian łaje łakomcę, paw' hardego i pysznego człowieka, sojka błazna; dąb przygania wyższym narodu stanom, nadobna lipa piękne chwali obyczaje, i t. p. Satyr Jana Kochanowskiego wytyka wady rządu, wiersze pod napisem: *Broda, Marszałek,* przyganiają wymyślnym strojom i łają złych urzędników, nakoniec jego ułamki przywodzą satyryczne Jana dowcipki, które się po całym upowszechniły narodzie. Powiada Kochanowski, że nowo wyświęconych księży nazywała szlachta wróblami na swoją pszenicę (ściągało się to do dziesięcin), że o sędzim, do dalszego sądowego dnia odkładającym sprawę, mawiano, iż do sądnego dnia ostateczne osądzenie sporu zawiesza.(*)

Z wewnętrznego składu zasługuje na uwagę worek Judaszów Klonowicza; zewnętrznie uważany, oryginalnym nie jest, w takim bowiem kroju już poniekąd i Dantego występują pienia, zepsutym Włochów przyganiają obyczajom. Satyryk polski w utworze swoim w liryczność wpada niekiedy. Mianowicie początek wiersza zastanowić powinien, który tak brzmi:

Merkury, wszystkich handlów i przemysłów Boże!
Któż twoję mądrość pojąć i wysłowić może?
Ty rządzisz krzywomyślny dowcip, i ty zbroisz
Język w dziwne chytrości: ty postawą stroisz;
Ty lipkie palce uczysz i ręce umkliwe:
Ty oszukać prostaka każesz w oczy żywe.
Za twoją sprawą oszust swoje fałsze zdobi
W piękny płaszczyk, kiedy co foremnego zrobi.
Ty ostatnim ratunkiem: gdy rzeczy nie służą,
Czynisz ochotne nogi i puszczasz na dłużą.

Każdy naród wywodzi początek dramatu swego z obrzędów religijnych. U Greków powstała tragedya i komedya z pieniów na cześć bóstwa śpiewanych. Z jasełek betlejemskich i z męki pańskiéj na górze Golgata, powstał dramat chrześcijański, więcéj tragiczny niż komiczny, co przecież z samego przedmiotu poważno-religijnego nie wypływało. Z obrzędów religijnych i sławiańsko-pogański dramat wywodzi swój początek. Wiadomo jest, że w 11m jeszcze wieku, wieśniacy czescy pogańskie naśladując zwyczaje, rodzaj widowisk wyprawiali sobie, w czasie świąt Rusałkami zwanych. Wpływ religii chrześciańskiéj zniweczywszy ten rodzaj widowisk, niepotrafił dokazać tego, ażebyśmy się chrześciańskiemi tak przejęli o scenie wyobrażeniami, jak zachodnia Europa, a szczególniéj też Germanowie, najsilniejsza w średnich wiekach podpora rzymsko-katolickiego Kościoła. Przyczyną tego było insze pojmowanie u nas chrześciańskiéj poezyi, czyli, jak ją dziś zowiemy, romantyzmu, aniżeli na zachodzie. Charakter nasz, a więc i całe polityczne i prywatne życie, wielce się od germańskiego różniło. My Polacy i wszyscy Sławianie, więcéj o ziemi, Germanowie więcéj o niebie myśleli; my spokojność i rzeczywistość, oni baje i marzenia lubili, oni rozczulać się, my weselić się woleliśmy. Dla tego też inaczéj oni, a inaczéj my pojmowaliśmy Chrystyanizm. Sławianie wierzyli w to i święcie przestrzegali, co pierwotny przykazał Kościół, a kiedy z czasem pomyśleli Czesi o reformie katolickiego kościoła, dążenia ich zmierzały naprzód do przywiedzenia go w dawne karby katolicyzmu, i do odrzucenia wszystkiego, co późniéj rzymski Kościół do obrzędów religijnych wprowadził. Na tém jedynie pierwotne Czechów ograniczały się życzenia, owóż i synowską miłość, która Bogarodzicę, Apostołów i pobożne niewiasty, łączyła z Bogiem Synem, dosłownie, to jest w znaczeniu pierwotnego Kościoła pojmując, (jako miłość, która stworzenie ze Stwórcą łącząc węzłem ścisłym, na świętém woli jego wykonywaniu zależy), nie rozczulaliśmy się nad nią o tyle, jak Germanowie; którzy w stósunkach reszty życia prozaiczni, a w mniemaniach religijnych poetyczni, (byłoto dalsze następstwo ich skandynawsko-pogańskiéj mitologii), pełni duchów, mar i upiorów, pełni zabobonów i straszydeł, zrodzonych w strefie mglistego i posępnego ich nieba, chrześciańską ową miłością rozmiłowali się wielce; w niéj rozpłynęli, i pod tę miłość wszystko zagarnąć pragnęli, a mianowicie też Sławian, swoich nieprzyjaciół. Nie dziw więc, że pierwszy rzymsko-katolicki dramat, odmienny od owego, który w czwartym już wieku, po narodzeniu Chrystusa, miał w wschodnio-katolickim kościele utworzyć o męce Zbawiciela Grzegórz z Nazianzenu, pokazał się u Germanów w roku 950., i że go utworzyła kobieta, zakonnicą będąc z powołania (byłato Helena z domu Rosow, Hroswitą, Roswitą zwykle nazywana). Najpiękniejszy swój wiek tak przemarzywszy Niemcy, doczekali się wreszcie w 17m i 18m wieku narodowego dramatu, w skandynawsko-romantycznym wykonanego guście, a w chrześciańsko-filozoficznym pomyślanego duchu.

(Koniec nastąpi.)

(*) Fragmenta w wydan. 1629. str. 7.